



DOBRY DOKTOR Z WARSZAWY

Przejmująca opowieść o Januszu Korczaku
i jego dzieciach oraz o miłości Miszy i Zofii

Elisabeth Gifford

BUKOWY LAS

– Popatrzcie uważnie. Tak zachowuje się serce dziecka, kiedy się na nie krzyczy albo podnosi rękę. Tak reaguje serce, kiedy dziecko się boi. Przyjrzyjcie się uważnie i zapamiętajcie.

Korczak gasi lampę, otula chłopca marynarką i bierze go na ręce.

– To wszystko.

Korczak wychodzi z dzieckiem, a ostupała sala wybucha nagle gwarem głosów.

Najwyższy spośród zgromadzonych, chłopak o smukłej, wysportowanej sylwetce i z rzędnącymi włosami nad szerokim, rozumnym czołem, pakuje zeszyty w pośpiechu. Misza myśli sobie, że wieczorem napisze list do ojca i wytłumaczy mu, dlaczego nie będzie szukać pracy jako inżynier, mimo że zdobył tytuł. Zamiast tego podejmie wieczorowe studia nauczycielskie i nadal będzie pracować w sierocińcu Korczaka jako ledwie opłacany bursista. Ojciec się wścieknie. Sam jest nauczycielem, więc wie, że na edukacji nie sposób się dorobić, trudno nawet znaleźć pracę. Odpowiedzialnością za tę katastrofę obarczy Korczaka, i słusznie.

Jeśli kto chce zmienić świat, musi zmienić metody wychowawcze.



DOBRY
DOKTOR
Z WARSZAWY

Elisabeth Gifford

DOBRY
DOKTOR
Z WARSZAWY

przełożyła
Anna Pochłódka-Wątopek

BUKOWY  LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The Good Doctor of Warsaw*

Copyright © Elisabeth Gifford, 2017

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish edition and translation by

Dressler Dublin Sp. z o.o., 2021

ISBN 978-83-8074-330-4

Nr 21000015

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cesarz

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: *Janusz Korczak i Misza Wasserman Wróblewski z wychowankami Domu Sierot* (góra), *Dzieci na Starym Mieście w Warszawie*, fot. Willem van de Poll (fragment, dół), *Dom Sierot na ul. Krochmalnej 92 w Warszawie*, *zdjęcie z raportu Jürgena Stroopa*; Wikimedia Commons

REDAKCJA: Daria Demidowicz-Domanasiewicz

KOREKTA: Agnieszka Madyńska, Madtrade

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las

ul. Sokolnicza 5/21, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl



DRUK I OPRAWA: Abedik S.A.

*Nie zostawia się chorego dziecka samego w ciemności,
nie zostawia się dzieci w takich czasach.*

JANUSZ KORCZAK

ROZDZIAŁ 1

Warszawa, 17 stycznia 1945 roku

Dwie godziny przed świtem Misza stał na brzegu Wisły, patrząc przez zamarzną rzekę w kierunku Warszawy. Trzymał fotografię Zofii – w sam raz wielkości jego dłoni. Przed kilkoma laty wyciął ze zdjęcia jej sylwetkę, żeby wydawała się prawdziwsza. Z dwiema dziurkami na wysokości ramion, pozostałymi po tym, jak przypinał ją nad łóżkiem w rozmaitych koszarach, była dla niego tym, czym święta ikona dla wyznawcy. Poważne, zalęknione oczy Zofii spoglądały na niego w przytłumionym świetle. Znał na pamięć całą fotografię: jasne włosy zaczesane do tyłu, wyostrome, piękne rysy. Minęły ponad dwa lata, odkąd ostatni raz trzymał w dłoniach ciepłą twarz Zofii, całował jej usta albo wdychał lekki zapach migdałów spowijający jej skórę. W smagających go zimnych, nieustępliwych porywach wiatru czuł fizyczny ból spowodowany jej nieobecnością. Podniósł kołnierz i wsunął zdjęcie z powrotem do płóciennego portfela. Zaczął zabijać ręce, żeby odzyskać czucie.

– Masz, Misza, napij się.

Parę metrów dalej, na brzegu, widział sylwetki rosyjskich strażników w grubych zimowych szynelach. Jedli z metalowych puszek, a gdy rozmawiali i śmiali się głośno, w powietrze wzbijały się kłęby pary. Jeden z nich podał mu butelkę. Misza podszedł i gołnął łyk. Odgłosy strzałów umilkły, ale z rzeki wciąż napływał swąd dymu. Rosjanom dopisywały humory. Śmiejąc się swobodnie, zgadywali, kto zatańczy wieczorem z grubą Iriną.

Pucołowata Irina wypełniała mundur masywnym ciałem oraz obfitym biustem. Uśmiechnęła się do nich w gęstniejącym mroku i nabrała na łyżkę duszonej fasoli.

– Nawet się nie fatygujcie, żeby mnie prosić – parsknęła i zarzuciła płaszcz na ramię. – Na śniadanie bym was zjadła. Ale gdyby który się odważył, to może Miszy bym nie odmówiła.

Popatrzyła na niego z łapczywym błyskiem w oku. Misza przywykł do tego, że kobiety zachowywały się przy nim osobliwie. Miał ciemne, bursztynowe oczy z zielonymi plamkami, śliczne jak u dziewczyny – przynajmniej tak kiedyś powiedziała mu Zofia. Był wysoki, miał subtelne rysy, a polski mundur i charakterystyczne dla niego wysokie buty oraz bryczesy nadawały Miszy staroświecki, niemal arystokratyczny sznyt. Jednocześnie bezpośredni i wesoły Misza potrafił zjednać sobie prawie wszystkich. Mimo że był Polakiem – a do tego Żydem – Rosjanie łatwo uznali go za swojego.

Misza pochylił głowę, a Irina zaniósła się gromkim śmiechem. Spotykać się z Iriną to jak igrać z ogniem. Krążyła plotka, że jej ostatni zalotnik zginął, i to nie od niemieckiej kuli, ale podczas kłótni od strzału z pistoletu zazdrosnej kobiety.

– Jeśli znajdziecie tam jeszcze jakichś kolegów Hitlera, pozdrówcie ich ode mnie tym. – Irina uderzyła w kaburę z bronią.

Wszyscy klepali Miszę po plecach wielkodusznie i serdecznie. Wyzwoliciele Warszawy.

Misza należał do grupy zwiadowczej Pierwszej Armii Wojska Polskiego pod sowieckim dowództwem, więc zawsze wyprzedzał wojsko przemieszczające się na wrogim terytorium. Szukał bezpiecznych tras dla czołgów, z napięciem wypatrując niemieckich maruderów. Dzisiaj jego niewielka jednostka jako pierwsza wkroczy do Warszawy. Ponad dwa lata od chwili, kiedy ostatnio był w mieście.

Na skraju ośnieżonej rzeki czekały w szeregu cztery jeepy. Spomiędzy rzednących chmur wyglądały czerni i fragment opalizującego księżyca. Franek, kierowca i samozwańczy przewodnik oraz doradca Miszy, siedział za kierownicą pierwszego samochodu. Klapki baraniej uszanki miał opuszczone na uszy.

– Pospiesz się, chłopie, bo zamarzniemy na śmierć! – ryknął. – Chcemy przepawić się przez rzekę, nim zrobi się jasno.

Warszawę wciąż spowijała noc, ale za ich plecami jaśniała już bladoczerwona smuga światła. Zgodnie z rozkazem mieli nadać przez radio komunikat o sytuacji, zanim polska piechota zacznie o świcie forsować rzekę.

Misza wgramolił się obok Franka i zatrzasnął drzwi, ale zimny wiatr i tak wdzierał się przez szpary, a jeep aż się trząsł od podmuchów. Misza wyjął pistolet z kabury. Rzeka przed nimi lśniła białą niczym długa, kręta wstęga śniegu, znacznie jaśniejsza niż wyściółka z chmur nad ich głowami.

Powietrze wydechane przez Franka wzbijało się kłębammi pary. Mężczyzna gwałtownie poleciał naprzód, gdy koła grzmotnęły o pokrytą śniegiem taflę lodu na rzece. Misza poczuł nerwowe napięcie mięśni, ale gruby, killkutygodniowy lód wytrzymał. Cztery czarne pojazdy ślizgały się i podska-

kiwały na wyboistej powierzchni, jadąc pomału, bez świateł, z cicho pracującymi silnikami. Kontury spalonych wojskowych ciężarówek, zamarzniętych truchel koni oraz innych pozostałości zlagodniały w śniegu i w widmowym świetle rzuciły długie cienie. Na prawo od nich zniszczone filary mostu Poniatowskiego wylaniały się z lodu niczym pijane postaci.

– Wierzyć się nie chce – rzekł Misza. – Oto my jako pierwsi wyzwalamy Warszawę. Wracamy do domu.

– Wyzwalamy na ruską modłę? Siedzimy przez pół roku na przeciwnym brzegu rzeki i opowiadamy, że czekamy na posiłki, aż Wehrmacht zmiecie polski ruch oporu. A potem, gdy Niemcy się zwiną, wkraczamy do miasta, otwierając wolne pole do radzieckiej okupacji.

– Bracia się nie odzywali?

Franek pokręcił głową.

– Przykro mi, Franek – powiedział Misza.

Kierowca usłyszał od wywiadowców, że jeden z jego braci poległ podczas powstania warszawskiego. Drugi ponoć zginął w samowolnej akcji polskich żołnierzy, którzy kilka tygodni po przybyciu nad Wisłę próbowali sforsować rzekę i udzielić pomocy oblężonej Warszawie. Zostali odparci i ponieśli ogromne straty. Pod lodem kryły się setki ciał żołnierzy Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Wściekli Rosjanie odprawili polskiego generała i zastąpili go kimś bardziej posłusznym.

Jeep z łomotem wpadł w głęboką koleinę w lodzie i Misza wolną ręką złapał się deski rozdzielczej. Ciemne pojazdy za nimi przyhamowały. Franek zakręcił kierownicą, odzyskał panowanie nad samochodem i ostrożnie objechał wyboisty odcinek. Misza obejrzał się za siebie. Pozostali jechali ich śladem. Odkleił dłoń od zimnego metalu i potarł przemarznięte policzki. Odsłonięta skóra pierzchła. Misza nadstawiał uszu na wystrzał z drugiego brzegu.

Pokonali już ponad połowę trasy po lodzie. Gdy Misza przez wiele lat przekraczał Wisłę, wracając do domu w Warszawie, wydłużona sylwetka miasta rozciągająca się między niebem a rozległą rzeką, z eleganckimi wieżyczkami, wieżami kościołów i masywnym gmachem zamku, wydawała mu się oczywistym elementem pejzażu.

To wszystko zniknęło. Ustawwszy lornetkę na zbliżający się brzeg oraz usytuowany po prawej przyczółek, przeczesywał teraz wzrokiem pustą przestrzeń z widocznymi w bladym świetle wyszczerbionymi kikutami. Ku brudnemu niebu wznosił się powoli dym. Misza przesunął lornetkę w stronę czoła strzaskanego mostu.

– Franek, stój! Stój! Tam widzę wartownika.

Franek zahamował ostro. Misza usłyszał, jak jadący za nimi jeep zatrzymuje się z chrzęstem opon.

Misza podał Frankowi lornetkę i pokazał niemiecką czerwono-białą budkę wartowniczą mającą na brzegu.

– Jeśli wystrzeli, nie ma się gdzie schować.

– Nie rusza się. Pewnie nas nie zauważył. – Franek otworzył klapę okienną, odbezpieczył broń, wymierzył i strzelił. Odgłos strzału rozniósł się po równinie.

– Psiakrew. Chybiłem. – Franek przeladował pospiesznie, czekając, aż wartownik odpowie ogniem. Szybko strzelił jeszcze raz. Strażnik drgnął, z miejsca, gdzie trafił pocisk, bryzgnęła tkanka, ale mężczyzna nadal sztywno opierał się o drewnianą skrzynkę.

Misza ponownie podniósł lornetkę do oczu.

– Ma śnieg na ramionach.

– Boże drogi, zamarzył na stanowisku.

Franek ostrożnie podjechał do brzegu i zatrzymał się przy wartowni. Na niebie wzbierała jasność, a śnieg odbijał niesamowite światło na poszarzałą twarz zmarłego. Jego

helm oraz wełniany płaszcz pokrywał szron. W budce drugi żandarm z karabinem przewieszonym z przodu opierał się o ścianę jak przewrócony kręgiel.

– Warszawy strzegą nieboszczyki – stwierdził Franek.

Niewielka kolumna jeepów jechała dalej po nasypie wzdłuż roztrzaskanego filaru. Na górze Franek zgasił silnik.

Przed nimi w zimnym świetle rozciągał się krajobraz, którego nie sposób opisać słowami. Jak okiem sięgnąć pod sinym niebem ciągnęły się kilometry ośnieżonych ruin i gruzu. Ani jeden budynek nie ostał się bez szwanku. Kominy sterczały jak połamane drzewa. Tu i ówdzie na tle błyszczącego śniegu czerniły się postrzępione resztki murów z wyrwami w miejscu okien. Nasłuchiwali z napięciem trzasku broni obserwującego ich samotnego strzelca, ale nic takiego nie nastąpiło. Panowała głęboka cisza. Nawet powietrze zdawało się zastygłe i zamarłe.

– Którędy? – zapytał Franek.

Misza pokręcił głową.

– Przed nami jest to, co zostało z Alei Jerozolimskich.

Ruszyli pomału wąskim szlakiem między zwałami cegieł i gruzu. Jedno z kół szarpnęło na rumowisku. Okazałe sklepy i biura dzielnicy handlowej zniknęły, a ich miejsce zajęły zgliszcza i lawiny cegieł i pyłu. Gruzowisko rozjaśniały zasypy śniegu, poczerwiałe szczątki murów sterczały wśród nich jak mogiły na zimowym cmentarzu. Nigdzie żywego ducha. Jakby tysiąc lat minęło, odkąd wśród czerwonych tramwajów i lśniących samochodów aleję przemierzała elegancka klientela sklepów oraz przedsiębiorcy.

Na rogu Alei Jerozolimskich przystanęli i spojrzeli w głąb głównej arterii. Ulica Marszałkowska prezentowała równie niekończącą się perspektywę budynków roztrzaskanych w sterty gruzu. Resztki zabudowań były czarne

i uszkodzone przez ogień. Franek znów wyłączył silnik auta. Misza stęzał, lecz nie padł żaden strzał. Snajperzy nie czaili się w ukryciu. W niesamowitej ciszy mężczyzna czuł, że cierpnie mu skóra na plecach. W powietrzu wezbrał atawistyczny lęk. W przedświcie zimowego poranka nad miastem wisiało widmo. Jedynie zmarli powinni przebywać w zaświatach.

– Ktoś tu musi przecież być – odezwał się Misza. Jego słowa zabrzmiały jak błaganie. Koce i medykamenty, które wieźli na pace dla cywilów, zaczynały zakrawać na ponury żart.

Chwila napięcia, gdy samochód nie odpalił na mrozie. Franek dwa lub trzy razy pociągnął dźwignię ssania i silnik zawył i zazgrzytał.

– Nie za mocno, bo go zalejesz – ostrzegł Misza. Sam się zdziwił, jak niespokojnie brzmi ton jego głosu. Silnik nareszcie zaskoczył i ruszyli przed siebie po wyboistej ulicy Marszałkowskiej.

Trafili na odcinek oczyszczony z gruzu, gdzie kamienice doznały mniejszych zniszczeń. W oddali widzieli prawie nienaruszone zabudowania. Dobiegł ich charakterystyczny warkot odjeżdżającej ciężarówki.

– W tych budynkach przed nami Niemcy pewnie mają koszary – stwierdził Franek.

– Chyba się wycofują. Lepiej dalej idźmy pieszo.

Misza ostrożnie otworzył drzwi jeepa i wysiadł na przenikliwy ziąb, dając znak Frankowi oraz trzem innym żołnierzom, by poszli w jego ślady. Prześlizgnęli się skuleni wzdłuż ściany budynku mieszkalnego i przemknęli kolejno przez skrzyżowanie. Kiedy ostatni dobiegł na drugą stronę, rozległ się świst kuli, a mężczyzna zgiął się wpół. Kuśtykał dalej, trzymając się za udo, na którym rośla ciemna plama. Misza przebiegł wzrokiem przeciwległy

dom. Snajper na dachu. Kolejna wymiana ognia i strzelec spadł. Z ulicy przed nimi dobiegły ich krzyki Niemców i ryk odjeżdżającej ciężarówki. Warkot silnika oddalił się i znów zapanowała cisza.

– Interesuje ich tylko odwrot – stwierdził Franek.

Gdy Misza łączył się przez radio z kwaterą główną, pozostali gasili pragnienie, a ranny został opatrzony.

– Piechota pokona rzekę za dwie godziny – rzucił Misza do czekających. – Mamy kontynuować pełne rozeznanie, ale nie podejmować walki, chyba że nie uda się tego uniknąć. Podzielimy się na dwie grupy.

Nie było sposobu, by sprawdzić, czy wycofujący się żołnierze zaminowali rozciągające się przed nimi ulice, mimo to Misza, Franek i dwóch radiotelegrafistów ruszyli na północ. Czerwonawy świt rozlewał się na skraju białego nieba jak krew przesiąkająca opatrunek, ukazując coraz wyraźniej szczegóły zdewastowanego krajobrazu: zagon drewnianych krzyży postawionych wśród ruin kościoła bez dachu, żelazną ramę łóżka wyłaniającą się spod śniegu, przewrócony dziecięcy wózek.

Szli dalej Senatorską w stronę placu Teatralnego, licząc, że zobaczą Warszawę, jaką znali. Ale otaczały ich tylko gruzy. Opera zniknęła, po ratuszu nie został nawet ślad. Miodowa, plac Zamkowy – kolejne ruiny. Kolumna Zygmunta rozbita na kawałki, a król, symboliczny obrońca Warszawy, leżał z twarzą w błocie i śniegu. Rynek Starego Miasta zamienił się w zgłiszcza. W matowym świetle kikuty budynków sterczały jak nagrobki.

Skierowali się Długą na zachód, mijając spustoszony Ogród Krasińskich. Nie uchowało się ani jedno drzewo. Kiedy zbliżali się do terenu wyгородzonego na getto, serce Miszy zabiło szybciej. Niespodziewanie ciąg uszkodzonych przez

bomby kamienic się urwał. Mur getta zniknął, podobnie jak zabudowania, które niegdyś opasywał. Oniemiały Misza wysiadł z auta. Przed nim ciągnęły się kilometry pustej przestrzeni, płaski obszar pokryty śniegiem i szronem. Rozebrano wszystko do ostatniej cegły i deski, a teren zrównano. Po getcie nie zostało nic oprócz kościoła, który kilkaset metrów dalej wyląniał się samotnie z morza bieli i mrozu. Trzy lata temu Misza mieszkał tu wraz z pół milionem innych Żydów, tłocząc się w nieustającym zgiełku tak wielu głosów. Teraz słyszał jedynie wiatr hulający bez przeszkód po płaskim terenie. Misza wyszedł nieco naprzód. Stał samotnie w świetlistej pustce, czując, jak ziąb przenika jego buty i rękawice. Na śniegu widać było tylko jego ślady.

Wrócił do samochodu, przemarznięty do szpiku kości.

– Myślisz, że zdążymy podjechać na Krochmalną? – zapytał kierowcę, gdy wszedł do auta. – Jeśli nie chcesz ryzykować...

Franek skinął głową i jeep ruszył. Niegdysiejsza ulica Leszno przypominała teraz upiorny szlak wiodący przez pustkowie.

Wjazd na Krochmalną blokowały masywne odłamy zniszczonych murów. Misza wysiadł z jeepa i zaczął wdrapywać się po gruzach w kierunku miejsca, gdzie ledwie trzy lata temu mieszkał i pracował jako nauczyciel. Jakimś cudem przy Krochmalnej ostało się kilka budynków. A oto i on. Sierociniec. Nadal tam stał. Sypialnie straciły w wybuchu okna, dach runął, na elewacji od frontu widać było ślady szrapnela, ale gmach ocalał. Panowała cisza, a Misza poczuł ucisk w sercu. Nie słysząc było pokrzykiwań ani śmiechu dzieci bawiących się na podwórku przed domem.

Dobiegł go chrzęst czyichś kroków na gruzach. Franek stanął przy nim i podniósł wzrok na okaleczony gmach.

– Ponoć doktorowi Korczakowi i dzieciom udało się uciec. Podobno mieszkają gdzieś na Wschodzie.


– Tak – powiedział Misza. – Też tak słyszałem.

Wpatrywał się w puste framugi okienne. Z bólem w pierś wrócił myślami do chwili, gdy ostatni raz widział doktora i dzieci oraz Dom przy Siennej w obrębie murów getta. Cały dzień spędził w pracy poza granicami dzielnicy – na rozkaz Niemców sprzątał rozbite szkło w koszarach na Pradze pod okiem znudzonego strażnika niedbale trzymającego karabin.

Kiedy tamtego dnia późnym popołudniem wrócił do sierocińca, dzieci już nie było. Na stołach stały kubki z niedopitym zimnym mlekiem i leżał niedojedzony chleb, krzesła były poodsuwane albo poprzewracane. Szabrownicy przetrząsnęli już budynek – porozrywali poduszki i wyrzucili osobiste pamiątki dzieci z szafek w niewielkiej sali balowej w gmachu Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Pracowników Handlowych i Przemysłowych, który przez ostatnie półtora roku pełnił funkcję zatłoczonej sypialni, sali lekcyjnej i jadalni dla dwustu dzieci.

Przed wojną chadzał z Zofią przez Warszawę w stronę placu Grzybowskiego, rozśmieszając ją opowieściami o wychowankach Domu, dzieciach niesfornych, mądrych, pełnych życia.

Teraz łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy, bo je zabrali, bo nie było go przy nich i nie mógł ich uratować. Stał w zimnym wietrze dącym wśród zwalów cegieł ulicy Krochmalnej. Ból wytrawił jego twarz niczym woda morska dryfujący kawałek drewna, odarł ją do kości.

Polub nas
na Facebooku 

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

fat. arch. autorki



Elisabeth Gifford

jest brytyjską pisarką, autorką książek biograficznych i historycznych. Dorastała na plebanii w przemysłowym Midlands, następnie studiowała literaturę francuską oraz religioznawstwo na Uniwersytecie w Leeds.

Uzyskała dyplom z kreatywnego pisania na OUDCE w Oxfordzie oraz tytuł magistra w tej dziedzinie w Royal Holloway College.

Jest mężatką, ma troje dzieci i mieszka w Kingston upon Thames. „Dobry doktor z Warszawy” ukazał się w wielu krajach europejskich, na początku roku 2021 miała miejsce premiera powieści w USA.

„Zatrważająca, lecz niesłychanie inspirująca powieść”. TELEGRAPH

„To odważna, poruszająca i ważka książka z głębokim, ponadczasowym przesłaniem”.

Katherine Clements

„Mocna i bolesna lektura, która mimo wszystko podnosi na duchu. Elisabeth Gifford w nadzwyczajny sposób połączyła fakty i fikcję”.

Andrew Taylor

„Niebywale wzruszająca powieść, która wydobywa prawdziwe człowieczeństwo nawet w obliczu najbardziej nieludzkich uczynków”. BOOKLIST

DOBRY DOKTOR Z WARSZAWY

*Nie zostawia się chorego dziecka samego w ciemności,
nie zostawia się dzieci w takich czasach.*

JANUSZ KORCZAK

Zakochani w sobie studenci Zofia i Misza uciekają z okupowanej Warszawy do Lwowa. Gdy sytuacja zmusza ich do powrotu, trafiają do warszawskiego getta, gdzie pomagają mentorowi Miszy, doktorowi Januszowi Korczakowi, w opiece nad dziećmi w prowadzonym przez niego sierocińcu. Korczak nawet w getcie nieustępliwie broni praw dzieci, stając się symbolem nadziei dla tysięcy ludzi żyjących za murami.

Warunki w getcie stają się coraz trudniejsze, Misza i Zofia muszą się rozstać i samotnie szukać ratunku. Czy kiedyś się odnajdą? Doktor Korczak, który do końca heroicznie próbuje chronić dzieci przed niewyobrażalnym złem, podejmuje decyzję o towarzyszeniu swoim małym wychowankom do ostatnich chwil.

**Przejmująca opowieść oparta na faktach z życia
doktora Janusza Korczaka oraz prawdziwej historii
jego młodych współpracowników Miszy i Zofii**

**„Tę historię należy opowiadać wielokrotnie, a wersja Gifford
jest potoczna i niesłychanie sugestywna”. TIMES**

Cena: 39,90 zł
(w tym VAT)

Nr 21000015
ISBN 978-83-8074-330-4



9 788380 743304

www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku

